FLORA POLSKA.

czyli

ROZRYWKI PRZYJEMNE I POZYTECZNE.

DZIEŁKO POŚWIĘCONE

LITERATURZE i POEZYI OYCZYSTEY.

Utile, dulci.

PRZEZ

KONSTANTYNA MAJERANOWSKIEGO.

TOMIK VIII.

W KRAKOWIE.

W DRUKARNI JOZEFA MATECKIEGO.

NAKŁADEM WYDAWCY.

1827.

Dla zapobieżenia przedrukiwaniom, każdy exemplarz oznaczony będzie własnoręcznym podpisem wydawcy. Exemplarze takowym nieopatrzone, prawnie poszukiwane będą.

FLORA POLSKA

CZYLI

ROZRYWKI PRZYJEMNE i POZYTECZNE.

BRZYTWEJDA

POEMA w CZTERECH PIEŚNIACH.

PIEŚŃ. III.

Rozmaite obrazy śpiących.— Pieszczoty starych małżonków.— Kalabraka.— Pierwsza wyprawa wojenna.— Odezwa Don Golwora.— Najazd. - Upiory w rurze i w pościeli.- Postrach.— Ucieczka diabłów.— Manifert Fryzyerów.— Allarm.—

Już Dona Laura, dzienne ukończywszy plotki,
J zwyczayne pieszczoty z kochanemi kotki;
Po zmówieniu na pytel wieczornych paciorków,
Zaczęła mile chrapać na łonie Amorków.
Tysiące obmòwionych nieprzyjaciół wednie,
Widziała przez sen w czyścu za grzéchy po-
(wszednie,

A owa niegdyś zdradnych kochanków jey dzicza,
Plackiem u nóg padając, zbrodnie swe wylicza;
Litości błaga, zwiędłe adoruje wdzięki,
J doprasza się kornie zapomnianey ręki.
O! co to za sen miły, co za tryumf słodki,
Dla gasnącey piękności, dla czułey dewotki!
Już i Don Piwonijo, młodzik teyże daty,
Pozrzucawszy w nieładzie spiżmowane szaty;
Chociaż dziś przy Klorynie, tyrance w kochaniu,
Trzy godziny zmarnował na prożném wzdycha-
Chociaż mu wszelka była wydarta nadzieja; (niu,
Równe pije słodycze w objęciach *Morfeja.*
Kloryna, tak nieczuła, tak zimna na jawie,
Nagradza mu pieszczotą zrządzone bezprawie;
J nawzajem do serca tkliwie przyciskana,
Przyrzeka wierną miłość,— aż do jutra rana.
Słowem już pół Sewilli władza snu objęła:
Póeta płaski, widział w tryumfie swe dzieła;
Lichwiarz brał 200. zasto, obrączkowém złotem;
Gracz straconey na piątkę radował się zwrotem;
Łotr, co za dnia z nikczemney odarty był maski,

W snie godne Arystyda zbierając poklaski,
Uyrzawszy się wministrów nieskażonych rzędzie:
Myślał sobie, że jutro *da capo* kraść będzie,
J pod płaszczykiem cnoty cały kray obedrze!..
Głupiec system Newtona rozbierał w katedrze
A nawet Pan Podstarszy po potyczce z kotem,
Po zmartwieniach przy kuflu, spał w marzeniu
(złotem;
Co mówię? i Don Fikas mąką znieważony,
Spał jakby po kąpieli— pod łóżkiem swey żony.

Szczęśliwi! wszyscy spali.-Don *Vervex* jedynie,
Don *Vervex* czuwał jeszcze, w tak późney godzi-
Xiąże fryzur, i Nestor wszystkich perukarzy, (nie;
Co lubi także wypić, kiedy mu się zdarzy;
W tym dniu o szklance wody ubrał cztery głowy,
Loczków sześć par wykończył, i nałysek (*) no-
Żonka jego Kamilla,— nie owa Rzymianka, (wy.
Co oyczyznę przeklęła dla straty kochanka;
Ale cicha, owieczka, pełna przymilenia,
Uprzedzająca każde Vervexa życzenia,

(*) *Rodzay peruczki zwaney Lepianką.*

Daleka próżnéy myśli, sercem zgodna z mową,
Była jego wazalką i razem królową. (wiem,
Wspólna jedność uczuciów, szczerą prawdę po-
Złączyła ich oboje w sprzyjaźnieniu wdowiem;
Kochali się tak czule, jak gołąbków dwoje. —
On jey mawiał: "*Koteczko! Lubko! Dziécie moje!*„
Nieznając nad jey marsik cięższey w życiu kary;
Ona jemu: "*Serduniu! swawolnisiu stary!*„
Z tąd choć czasem Don Vervex wybryczkiem
(co zgrzeszył;
Ucałowaniem łapki zmartwioną pocieszył; (ją.—
Podobne dziś małżeństwa, niewiem gdzie istnie-
Oboje zwykłą swego pożycia koleją:
Każdy wieczor w sklepowém okienku siadali,
Zażywając tabaczki w *kalabrakę* grali.
Lecz złość ludzka co niezna w uniesieniach gra-
J spokoyność bliźniego waży sobie za nic; (nic,
Postanowiła właśnie korzystać z tey pory, (mory.
By zmieszać w gorzkie jabłko dwa słodkie hu-
Golwor ktòremu spasłe lica gniew rumieni
Któremu żądza zemsty pali się w kieszeni;

Wiemy że przysiągł srodze, napędzić im wiatry,
W skutek mściwych układów ze swemi *konfratry*.
Sztuka więc nieugięta — jak litwin uparty,
Zgromadziwszy golarskie jamniki i harty,
Rzekł, wydając ten uśmiéch co trwogą przeszywa:
"Chłopcy! — honor lancetu, jest tak jak pokrzywa,
„Kto ją chwyci niebacznie, ręce sobie sparzy!
„Nasz cech... jest zagrożony spiskiem perukarzy!
„Chcą nam brzytwę odebrać, dla własney cha-
(panki;
„J przestępując wszelkiey uczciwości szranki,
„Bez wydania nam woyny, w brew święte zwy-
(czaje,
„Plemie to, milczkiem na nasz upadek powstaje.
„Co gorsza! niezrównanych mężów w swych za-
(letach,
„Pudruje na ulicach i trzepie po grzbietach;
„Mężów uczonych w sztuce! golarstwa Nestorów,
„Balwierzy! Lancetników, Vicesenijorów!
„Dowiedzcie się i płońcie zemstą moje dziatki:
„*Don Fikas de los Bibos*, mąż prawdziwie rzadki;

„Co przeszedł wszystkie stopnie ze czcią i hono-
(rem,
„Co po mnie ma pierwszeństwo zostać Senijorem,
„Don Fikas dzisieyszego wieczora... o wstydzie!...
„Wtym gdy sobie z pod *Raka* w dobrey myśli
(idzie;
„Napadnięty, spudrzony, potem dla odmiany,
„Jak *dezerter* przez rózgi latał bierzmowany;
„Dostoyne plecy jego na zrazówkę zcięto!
„J ażeby niewrzeszczał język mu zwichnięto!
„A na większe zacności jego poniżenie,
„Mąki napchano w usta, w uszy i w kieszenie.
„Zbrodnia ta, co wściekłością zapala me łono,
„Przez chłopców perukarskich została spełnioną;
„Łotry, godne ażeby czoła im spiętnować,
„Jak mu tylko zagrali, tak musiał tańcować:
„Plecy, nie plecy, łytki, nad i pod łytkami,
„Wszystko mu wyćwiczyli, mówiąc między
(nami.
„Darować taką srogość byłoby tchórzostwem,
„Mnóstwo nas obraziło, zemściymy się mnóstwem.

„Znacie wszyscy *Vervexa*, ten cechmistrz grzebienia,
„Ten *Kozieł*, trzymając się dosłownie znaczenia;
„Tryumfuje tey chwili z tey bezecney sprawy,
„Gra sobie w kalabrakę z żoną dla zabawy;
„Niecierpi on gdy mu kto za uszami wrzaśnie,
„Otoż to jest, czém go dziś zaczépicie właśnie.
„Idźcie i przed sklepikiem beczcie mu jak kozy!
„Będzie to *prœludium* do wojenney zgrozy.
„Stary *Vervex* do biegu już dziś niejest szybki;
„Choćby więc przyszło ginąć z biegania i chrypki,
„Lataycie mu przed nosem, wydając krzyk kozi!
„Niech się rzuca, niech goni, kijem niechay grozi;
„Wrzeszczcie mówię bezprzerwy, dopoki się uda!„
„Reszta potem.„ - Zbuntować motłoch nie są cuda;
Niewyszło pół godziny, już Vervexa uszy,
Naystraśliwszych od wrzawy doznały katuszy.
Jeden z tych Saracenów właziszy na dach zwinnie,
Włożył głowę do rury blaszaney przy rynnie;
J niby kozieł dziki złowiony do matni,
Beczał jak trębacz, co sąd zwiastuje ostatni;

Jnny w tym, gdy Don Vervex z swą żoną westalką,
Uzbrojony sękaczem i od fryzur lalką,
Wybiegli z przed sklepiku odpędzać te zgraje:
Smiałek w łoże małżonków sztucznie się dostaje;
Wślizga się pod pierzyny i pod stos poduszek,
J jak drugi kulawy czart *Asmodeuszek*,
Zdradliwie na ich powrót waruje w pościeli.
Tym czasem ulicznicy piekielnie beczeli;
Naprożno ich Don Vervex w pudermantlu gonił,
J pienił się od złości i zębami dzwonił;
Naprożno czuła żonka, broniąc męża sprawy,
Piskliwym głosem wściekle przytłumiała wrzawy;
Oboie zaziajani od gniewu i krzyku,
Wnet zostali w potrzebie zmykać do sklepiku.
Już się rozpoczynała smutna *reytereda*,
Już o mało Don Vervex w rynsztok nieupada,
A z nim i z lalką razem żoneczka cnotliwa;
Gdy na szczęście Don Fagas na pomoc przybywa!
Rycerz ten czytelnikom niejest jeszcze znany,
Opiszmy go po krótce dla samey odmiany.

Wysoki był i cienki gdyby schnąca sosna,
Z twarzy jego już dawno uleciała wiosna;
Lecz długą jak *Suwałki*, (*) miasteczko na Żmudzi,
Łyżwiaty nos ją różnił od zwyczaynych ludzi;
Broda hyroglyficzna, usta bliskie uszu,
Cechę nadzwyczaynego miały genijuszu.
Jakoż Don Fagas niemógł nazywać się zerem!
Był on wszystkich głów modnych arcyfryzy-
(erem;
Sam diabeł mógłby pięknym bydź w jego fryzu-
Aktorki podstarzałe odświeżał jak róże, (rze,
J lubo w wielkiey łasce niebył u *noblessy*,
Posiadał zato względy u mieyskiey *grandesy*.
On to owey frycówki był skrytym hetmanem,
Co Don Fikasa mąki zbieliła tumanem,
Zażarty nieprzyjaciel tego zębow rwacza;
J choć jeden dźwięk imion jedność ich oznacza,

(*) *Suwałki miasto stołeczne w województwie Augustowskiém, złożone z jedney długiey tylko ulicy.*

Niecierpieli się wzajem jakby dwa koguty,
Od czasu w którym jeszcze złe nosili buty.
Nieraz gdy ów szedł golić, ten wdzięki odnawiać,
Spotkawszy się, musieli turnieje odprawiać;
J nieraz ten zczesany a tamten zmydlony,
Po garści włosów z głowy nieśli w swoje strony,
Mając podbite oczy, podrapane uszy. —
Tak bohatyr nasz dzielny, przenikliwey duszy,
Pewny że klęsk Fikasa pomszczą golibrody,
Ledwie usłyszał wrzawę, leci na odwody;
J zastawszy Vervexa z żoną w *reyteradzie*,
Wpada — gradem kułaków, tamę bitwie kładzie.
Jak przed brytanem drobnych zgraja psów ucieka,
J z ogonem pod siebie, ujada zdaleka;
Tak wyczubione dzielnie golarczyków roty
Znykały w nieporządku przed mściwemi groty!..
A nasz Ajax żylasty i do bicia skory,
Sprawiwszy sycylijskie najezdcom nieszpory:
Jako wdzięczności godzien, sprzymierzeniec taki,
Uczczony został szczyptą sewilskiey tabaki;
Był to honor nielada z Senijora dłoni!..

Ale niezawsze męztwo przed złością obroni,
Niezawsze mądra głowa z chytrą się pomierzy;
Niespodzieje się człowiek, skąd fala uderzy!
Łupem tey smutney prawdy byli Vervexowie,
Okażemy to zaraz w ich dziejów osnowie. (szasz,
O duchu romantyczny! co umarłych wskrze-
J wyobraźnię ludzką w obłokach zawieszasz;
Co jey bujać pozwalasz po grobach, cmentarzach,
J tryumf nianiek wznawiasz na Bógów ołtarzach...
Przybądź nam ku pomocy duchu niebotyczny!
Właśnie tu mamy kreślićobraz bardzo śliczny:
Dwóch upiorów co włażą niewinności wdrogę,
J mają sroższey woyny rozniecić pożogę;
Obraz dwoyga kochanków średnich wieków daty,
Których codzień odmładza Kupido skrzydlaty.
J chociaż nato Hymen ze złości szaleje
Że mu na jego polach swoje kwiatki sieje:
On zwyczaynie zuchwały, niebacząc na dąsy,
Miłością im osładza małżeńskie przekąsy.
Odkładając do jutra plan wszczętego boju,
W upragnieniu po trudach sennego pokoju,

„Jeśli chcecie zachować nietykalne uszy;
„Wkrótce was ich pozbawi perukarski zamach?.
„Siedzicie jak *portrety* w wyzłacanych ramach?
„Żaden słowa nietrunie?.. Daléyże ospali
„Czyście to Don Fikasa jeszcze niepoznali?..
„Nierozrzewniaż was widok zelżoney osoby
„Którą sami liczycie między swe ozdoby?
„Wczoray jeszcze pod *Kaczką* o tém była mowa,
„A dziś żem niepił z wami, niepowiècież słowa?„
Na ten wyrzut bolesny zatrwożone grono,
Odzyskało przytomność w miodzie utopioną;
A Don *Senior* chcąc mądrze okoliczność zbadać,
Kazał sobie porządkiem ten gwałt opowiadać;
Słuchał z zastanowieniem Don Fikasa mowy;
A w piersiach jego zawrzał ogień piorunowy,
Dowiadującsię takiey ohydy i zgrozy,
Godnych naymniey ochlebie i o wodzie kozy! (ści,
Lecz w naywiększy dopiero wpadł zapał wściekło-
Gdy rycerz znieważony, wspomniawszy bòl kości,
Z rzewnemi łzy wyliczał *fukle* odebrane,
Mając na gorzkie jabłko plecy zbiczowane!
Niəborak nosił tylko szpencerek z kamlotu,

Czuł więc wszelkie dotknięcie prętowego grotu.
„Dość! tego krzyknął Golwor, niekwil się jak beksa
„Bądź mężnym! nauczę ja zaraz Don Vervexa;
„Nauczę tego Pana Seniora peruki,
„Czem to pachnie pogarda cyruliczey sztuki!
„Jeszcze się dziś ze złości cały wściekać będzie;
„Jeszcze dziś hańba jego rozleci się wszędzie!
„Daley bracia, śpiesz każdy do swey officyny;
„Stawcie mi chłopców swoich ze cztery tuziny!
„Niechay ta cała zgraja przed móy dom się zbierze.
„Sprawię ja temu zdraycy porządną wieczerzę,
Sprawię mu taką frykę przed schyłkiem północy,
„Po którey spać niebędzie przynaymniey stoćnocy;
„Natém *punctum*. Dobranoc, szanowni członkowie!
„Jutro zwani o dalszych planach się rozmówię.„
To rzekłszy wyszedł pędem, za nim całe grono;
Notabene w przód resztę miodu wysączono.

KONIEC PIESNI DRUGIEY.

Na upiora w swém łożu patrzących ukośnie,
W odwrocie bez porządku, lecz w godney wspo-
(mnienia
Postaci romansowey, aż do zachwycenia....
Już Koloander cieszył Leonildę swoją,
Szepcąc jey, że upiory xiężyca się boją;
Już i ona milczenie chciała przerwać śmiało,
J zbliżyć się do mieysca w którem coś beczało;
Już nawet na ulicę wyjrzeć przedsiębrali....
Gdy golarczyk w mniemaniu że pouciekali,
Chcąc im się po francuzku wynieść w swoją drogę,
Wychylił z pod pierznika w dobrey wierze nogę;
Potem ręka wylazła w zniesiona do gòry,
Przeszło dwa łokcie długa z tylemiż pazury...
Szmer lekki, wstrzymał reszty członkòw porusze-
(nie.—
"Kamilciu! szepnie Vervex, cóż to za zjawienie!
„ Z naszych piernatòw ręka wyłazi i noga...
„ Coraz grubsza i dłuższa!.., to upiòr! kto w Boga!„
Tchòrzom, tę rzadką własność udzieliły nieba,
Że szkieł powiększających nigdy im nietrzeba;

Jm się wszystko w olbrzymiey wydaje postaci.
Strwożony Vervex resztę przytomności traci;
Kamilla w kuczki siada do nòg mu się tuli,
Choć on sam wlazłby chętnie pod *skrzydła* żonuli;
"Ratuy mnie, ratuy mężu boś przecie mężczyzna!„
A któż się w takim razie do thórzostwa przyzna?
Pieczeniarz obozowy, gdy go proch zaleci,
Ucieka na bok z nosem gdzie słońce nieświeci,
Kryje się w wilcze jamy; lecz nigdy niegada
Że mu śmiertelne poty sprawia *kanonada*....
Vervex przybiera minę!... straszną co się zowie;
J poprawiwszy w bakier duchenki na głowie,
Hey!... zawoła, a kto tam w pościeli się rusza,..?
Czy upiòr... czy... ratunku wzywająca dusza?..?
Be!... ryknął potępieniec i więcey niegada....
Ale w tém... na podłogę piernat z niego spada,
Za piernatem poduszki lecą sobie cicho,
Jak mury na głos trąby, z fortecy *Jerycho*;
Z poduszkami sam upiòr... lecz nietraci chwili;
Popchnąwszy Don Vervexa na głowę Kamili,
Aż w oczach rożnobarwe stanęły mu świeczki;

Niechce dalej z Vervexem pròbować potyczki,
Żegna go: "Bądź zdrów koźle! Dobranoc wam
(tchórze!„
Uciekł - "Dobranoc!„ trębacz odezwał się w rurze;
Zniknęli, oba razem, lecz *Dona* fryzerka,
Po głosie, rozpustnego poznała Balcerka.
Wielkie to dostrzeżenie, odkrycie nielada!

Nazajutrz, jak świt, Vervex do gospody wpada;
Zwołane fryzyery, podwóynemi kroki
Już wiadome zniewagi, stają bez odwłoki.
Rada trwała pięć minut, i stanęło na tem,
Że te dąsy felczerskie trzeba skarcić ba....
J jak niegdyś rycerze średnich wieków sławy,
Posyłali swym wrogom w zaczepki miecz krwawy;
Złośliwi perukarze, z dumą nieugiętą
Posłali im gandziarę w papier zawiniętą;
J przy niey taki adres piekielney osnowy,
Jakie się zwykle piszą w zapaleniu głowy:
"*Słuchaycie golibrody! ty zgrajo obrzydła!*
„ *Co krwią ludzką się tuczysz, a jeszcze chcesz*
(*mydła!*

„ *Co zęby rwiesz dla tego by chleb darmo zjadać!*
„ *J w imieniu Doktorów śmiesz chorych napadać,*
„ *Zamiast leczyć, zabijać i chapać grosz cudzy,*
„ *Woynę ci ogłaszają* Toaletki *słudzy!*
„ *To co wczoray wasz Fikas przyniósł wam na*
(grzbiecie,
„ *Jest zadatkiem frycówki którą dziś weźmiecie!*
„ *Czekamy was na placu pod baranią głową,*
„ *Z bronią tu dołączoną, trzepać was gotową!*
„ *Miarka wam się przebrała, skarać was należy,*
„ *Gotuycie się i drżyjcie, wnet piorun uderzy!„*
Natychmiast głos: "*do broni!„* rozlegał po mieście!
Z obu stron wojowników uzbraja się dwieście!..
Alarm po officynach, sklepikach fryzerskich,
Każdego do zawodów wyzywa rycerskich;
Wrzawę piekielney zemsty słychać w całym gro-
(dzie,
Wrzawę,... która się może zakończy na miodzie.

Koniec Pieśni III.

HISTORYA
SZAREGO PŁASZCZA,
ZNALEZIONA W JEGO RĘKAWIE.
CZĘŚĆ II.

Pełen rozpaczy leżałem przed oczyma tych państwa łapigroszów, drżąc na każde ich poruszenie. Przecież los, a bardziey moje przeznaczenia, inaczey rozrządziły. Zaledwie bowiem móy drapieżny dzierżawca z godną swą połowiczką, przewróciwszy mnie na cztery boki, zabierali się do poprucia: powstał *allarm* w obozie; zaczęto krzyczeć: do broni! do koni! a ja w tym strachu na ziemię porzucony, byłem świadkiem odwagi i wesołości naszych żołnierzy, z jaką lecieli na spotkanie nieprzyjaciela; i tchórzostwa dwóch dusz poziomych, co im tylko dla chapanki towarzyszyły. Markietan biegając jak oparzony: że zamiast wycieńczonego trudem i głodem zwierzątka, o mało żony swojey niezaprzągł

do powòzki,— zaplątawszy się w moich połach, dwa razy nos utkwił w piasku;— żonka jego, baryłkę z wodką zarzucając mu na plecy, przylepiła sobie przez nieostrożność kilka tęgich guzów na czoło; oboje głowy potracili do szczętu gdy w kilka minut zawołano: że jazda nieprzyjacielska z tyłu na naszych naciera! Jakoż niebyły tu przelewki. Prawie mnie brali za kołnierz do wrzucenia na wòzek, kiedy granat wpadając nieproszony, rozsadził go na drobne sztuki, a państwo markietaństwo z trzosami na tucznych bokach, Bóg wié gdzie się podzieli.— Niebawem, mieysce mego spoczynku, było placem krwawey potyczki.— Dwa bataliony piechoty naszey, murem stanęły przeciw tyluż połkom chcących je złamać kirysserów.— Walka była mordercza.— Przybyły w pomoc ten sam półk nieustraszonych ułanów, którego dowódcę okrywałem przed kilku godzinami, niezważając na zbroje, gardła kiryssyrskie poprzeszywał lan-

cami; — nieprzyjaciel odparty, — a na mnie stratowanym, padł ciężko raniony sierżant pieszy, śliczny młody chłopczyna, powtarzając prawie na poł umarły te słowa: "*Adelinko!* „ *o moja Adelinko! już cię może więcey niewyrzę!* „ *o moja Adelinko!*„

Noc położyła tamę bitwie, — deszcz potężny się puścił, niżeli kilku miłosiernych żołnierzy, postrzegłszy nieszczęsnego młodzieńca, przywołali chirurga. "Biedaczek, zawołała chirurg rozczulony jego widokiem, deszcz na wskruś go przemoczył! Zanieścież mi go przyjaciele na tym płaszczu który tu ma pod sobą, do owey chatki co światełko w niey błyszczy, to nie potrwa dziesięciu minut; przeżył tyle, więc przecież i tę resztę czasu wytrzyma. Tu w żaden sposob ratować go nie zdołam, bo nic niewidzę.„

Otóż znowu, uczułem w sobie nową słodycz i słuszną dumę, żem się młodemu obrońcy oyczyzny stał pożytecznym. Krwią

jego w znaczney części zbroczony, niosłem na sobie piękną cechę przeznaczenia płaszczów żołnierskich. Nowy móy dziedzic zaledwie w kilka godzin przyszedł do siebie. Chirurg opatrzywszy mu ranę, kazał bydź dobrey myśli, i na wspomnienie Adelinki zapewnił go, że ją posiadać będzie, gdyż w trzech tygodniach może bydź pewnym wyzdrowienia. Rozczulony młodzieniec zalał się łzami radości i ucałował tę dobroczynną rękę, chcąc w nią zarazem wcisnąć kilkanaście czerwonych złotych. Ale chirurg mając łzę w oku, nieprzyjął daru i rzekł: "Potrzebne ci będą;... a ja „ pieniędzy nielubię, bo je zaraz do twych star„ szych koleżków„ na tamborze w faraona prze„ grywam.„ — Jakże mi się szlachetnym okazał chirurg, jakżebym rad bydź płaszczem podobnego chirurga!

Przez trzy dni zostawaliśmy w ubogiey chałce z kilku innemi towarzyszami cierpienia. Zdziwiłem się, kiedy zaraz nazajutrz po zaję-

ciu tego ustronia, pòłkownicy, jenerałowie raczyli odwiedzać mego Pana Sierżanta. Rozumiałem z początku, że musi bydź ich krewnym, lecz później się inaczey pokazało, teraz zaś tylko tyle: że ten waleczny młodzieniec w dniu walney bitwy, zdobył dwa działa i sztandar, rzucając się, w naywiększe niebezpieczeństwa.— Wszyscy go pocieszali, że Adelinka żyje i pewnie z matką schroniła się w bezpieczne mieysce.— Ktoby to była ta dziewczyna, niemogłem się jeszcze dowiedzieć; tym bardziey coby miała z swą matką do czynienia w obozie, pod czas bitwy. — Zacny chirurg odwiedzał codziennie swoich cierpiących, i czwartego dnia zrana przybyły za nim wozy, które cały lazaret do pobliskiego przeprowadziły miasteczka. Tam byliśmy jak w raju. Móy Pan dostał osobny pokoik; gdzie dopiero, przyszedłszy nieco do siebie, miał sposobność poznać się lepiey zemną. "Skądżeś ty szary przyjacielu, dostał się w moję

posiadłość, rzekł pewnego poranku, widząc mnie na kołku zawieszonym? Czyjkolwiek atoli jesteś, nierozłączę się z tobą nigdy, chyba że mi cię razem z życiem nieprzyjaciel odbierze; tyle przysług ile doznałem od ciebie, godne są zawdzięczenia.,,— Właśnie tych słów dokończał; kiedy wszedł chirurg, donosząc mu, że nieprzyjaciel się cofa; i że jest nadzieja pozostania tu na czas dłuższy, niżeli się spodziewano.— Obadwa, po zwyczayném rany opatrzeniu, która niebyła bynaymniey niebezpieczną, wzięli mnie znowu na uwagę. "Dla Boga! rzecze po chwili młodzieniec,— cóż to za bolesne odkrycie! poznaję z tey podszewki jedwabney, że to jest płaszcz mojego stryja, półkownika hułanów Odważnickiego, co poległ w ostatniey bitwie!...— Czy podobna?...— Tak jest, tak niezawodnie. O móy Panie! jakiż to skarb dostałem!... ach pozwól niech go ucałuję!... Krew nasza, jakimże trafem połączyła się na nim? Półkownik, wiem że go

miał na sobie kiedy poległ. Musi bydź na przodzie postrzelany?... Szukay WPan...,, — W istocie znaleziono we mnie aż trzy dziury, od kul karabinowych. Biedny młodzieniec rozpłakał się nademną i kazał mnie schować sobie pod głowę. —Gdybym był umiał mòwić w ten czas, dowiedziałby się był odemnie o hultaju Grzegorzu, moim niegodziwym na bywc i zdradzieckim układzie markietana; lecz że to bydź niemogło, musiał poprzestać na własném przekonaniu, że mnie prawnie posiada. W kieszeni mojey znalazł jeszcze list od kochanki do pułkownika, na dzień przed zgonem odebrany, i opłakiwał los dobroczynnego stryja, który konając oświadczył przytomnym officyerom, że go swoim dziedzicem mianował w testamencie.

Tak spoczywając pod głowami mojego kochanego sierżanta, doczekałem się tey słodkiey chwili, w którey wyzdrowiawszy zupełnie zaczął się mną odziany, po pokoju przechedzić. Co to za nowa była dla mnie przy-

jemność, gdym sobie wspomniał, że tak szczęśliwie z ramion walecznych na waleczne przeszedłem, zacząwszy mòy byt na polędwicznych i wódczanych?

Pewnego dnia, kiedy posępny zawsze Adolf, (tak się nazywał mòy właściciel) nie odbierając żadney wiadomości o Adelinie, miał się już wybierać w drógę za pólkiem, który w postępie za uchodzącym nieprzyjacielem, stanął na granicach państwa; niespodzianie odbiera list z Warszawy z doniesieniem: że jego nayczulsza kochanka przybyła tam z swą matką i w naywiększey o niego zostaje niespokoyności. – Natychmiast wysłał odpowiedź przez sztaffetę, zapewniając że tam extrapocztą zaraz jutro poleci; i na obchód tego szczęśliwego wypadku, zaprosił kilkunastu kollegów różnego stopnia, na suty wieczorek do siebie, i razem na pożegnanie.

Wesołość przy dobrem winie, wnet po zebraniu się gości, była nieustającą.— Podług zwyczaju, nastąpił *faraonik.*— Mòy Pan, ma-

iąc jeszcze w zapasie *rulonik*i dukatów, jak zaczął ponterować, tak też szczęśliwie wszystkie przegrał. Patrzałem nato z boleścią, przewidując że jutro niebędzie za co wyjechać podług zamiaru extrapocztą. —

Po rozeyściu się towarzyszów, ciekawy byłem co też zrobi. Zaczął się przechodzić po pokoju i z początku złorzeczyć kart wynalazcom. Nakląwszy im do woli, i nałajawszy sam sobie za nierostropną pokusę do gry, przysiągłszy odtąd więcey nigdy niegrywać, zdiął mundur, i mną który mu służyłem teraz za *szlafrok*, odział się i siadł przy stoliku na dalsze *medytacye*. "Co za szaleństwo! co za nie-„ baczność, zapomnieć się do tego stopnia? „ Co ja tu pocznę?... Prosić kogo o pożycze-„ nie, a zwłaszcza tych, co odemnie wygra-„ li? byłoby nierozsądnie i nieuczciwie!.. Nie-„ jechać, uprzedziwszy kochankę że ją za kil-„ ka dni do serca mego przycisnę?.. Boże! co „ ona sobie pomyśli?.. A w reszcie przyjechać „ gołym?.. kto wie jaki dziś stan jey matki?... „ Możeby kilkadziesiąt dukatów bardzo jey się „ przydało! Zrabowano ich do nitki i spalono im „ wioskę.... Bóg łaskaw iż biédne uciekły z ży-„ ciem!.. O ja niebaczny i razem nieszczęśli-„ wy!.. Znikąd nadziei!.. — Dalibóg!.. że niewiem „ co mnie od tego wstrzymuje, że sobie w łeb „ niewypalę!..„ To wyrzekłszy, chciał włosy z głowy wyrywać, i w tym nieludzkim za-

miarze, ściągnąwszy rękę do góry, przypadkiem zawadził o móy kołnierz, tak, że papiery w nim zaszyte namacał. "Dla Boga! (zer-
„ wawszy się z krzesła zawoła:) byłżeby to
„ testament mego stryja, którego nadaremnie
„ pomiędzy papieramy szukano? Ale còż on
„ mi w tym przypadku pomoże? Tu mnie nikt
„ niezna, a wreszcie przystałożby mi zaraz
„ po jego zgonie, na majątek jeszcze nieode-
„ brany, zaciągać długi?... Nie, tego nigdy
„ niezrobię. Sto kilkadziesiąt dukatòw, ktò-
„ re po tym szanownym dobroczyńcy przysła-
„ no mi nazajutrz po jego zgonie, w godzinie
„ zmarnowałem! O cieniu drogi! niewart by-
„ łem twojego przywiązania!.....„—

W tym wchodzi ktoś we drzwi; —był to chirurg, ktòry dowiedziawszy się o przegraney, bo sam niemógł bydź na bankiecie, przyszedł do Pana Sierżanta z sążnistą burą;....— lecz zastając go prawie łzy roniącym, zapytał o przyczynę? - Wyznanie było nayczulsze, — ale sam zacny *Ewangelista* niemiał ròwnie szeląga, bo wczoray takiż grzech popełnił. — Niepomyśleli obadwa, że móy kołnierz miał lekarstwo na tę całą chorobę; i móy dziedzic kochany, ponowił tylko uroczystą przysięgę, że nigdy a nigdy kart nieruszy; a chirurg wtorował mu półgębkiem i śmiał się mimowolnie.

"Ale wiesz też co przyjacielu? rzecze
„ Adolf po skończonym obrzędzie; zrewiduy
„ no mi kołnierz u mego płaszcza? - Na co?—

„ Sam niewiem, lecz mi się zdaje że w nim „ jest coś. — W samey rzeczy jest papier, mo- „ że dla dania mu lepszey tęgości. Z tém „ wszystkiém nic nieszkodzi. Czy masz scyzo- „ ryk? – Oto leży.„ –

Adolf mnie zdiął, a dobry chirurg zręczniey od krawca, bez naymnieyszego uszkodzenia odpruł kołnierz i wydobył papiery. — Testament i dwa wexle! jeden na 500; drugi na 400. dukatów!... –

Naco tam wiele gadanin, bez potrzeby? – Zaraz nazajutrz były dukaty nowiutyńkie i extrapoczta. – Chirurg musiał ich przyjąć 100, pod klątwą i wieczną nienawiścią jeżeli wzgardzi; i może tego samego dnia zaraz puścił ich między bractwo, – a my polecieliśmy z moim panem jak wicher do Warszawy.

KONIEC CZĘŚCI II.

KWARTET

BAYKA z ROSSYJSKIEGO.

Małpa w koncepty obfita
Widząc raz osła,
Proiekt wniosła,
Ażeby się zgromadzić i dać koncert szumny.

Myśl wyśmienita,
Rzekł osieł rozumny; (nął;
Więc szybko po niedźwiedzia co z talentów sły-
Aże się kozieł nawinął,
J iego wzięli, mimo prożby i wymówkę.—
Przynieśli dwoje skrzypców, basy i altówkę,
J nuty podług rozkładu;
A usiadłszy na łące,
Pewni iż amatorów przywabią tysiące,
Nuż zaraz w smyczki! — Graią, — niema ładu.
Stóycie! zawoła małpa, stóycie! co czynicie!
Wy źle siedzicie.
Tak nam kwartet nie póydzie. Niedźwiadek
(z basami
Powinien usiąść przed nami
Na przeciwko altówki, i ia także *prima*,
Przeciw Kozła co wtór trzyma;
A zobaczycie różnicę,
Upewniam że zagłuszym całą okolicę.— (wsłowo!
Więc *da capo* zagrali — jak w przód, słowo
Już ja wiem krzyknął osieł, jeszcze raz na nowo,
Jednym skończymy zapędem,
Lecz siądźmy rzędem. —
Bydź może, rzekli, osieł nasz nie w ciemie bity,
Więc przestawili pulpity.
J graią, — każdy się sili,
Ale niedzwiedź takt zgubił, wszyscy się zmylili,—
Ztąd powstały,
J liczne przymówienia, i hałas niemały,
Bo każdy chciał lepiey wiedzieć,
Jak trzeba siedzieć.—

Na szczęście Słowik w te zjawił się strony;
Do niego tedy w pokłony,
Prosząc, by pod rozpoznanie
Raczył wziąść każdego zdanie,
A potém aby wytknął wczem który pobłądził,
J kwartet ich sam urządził;—
Bo, mówią, wszystko mamy, nóty, instrumenta,
Siedzieć tylko rzecz przeklęta!—
"Aby bydź, muzykantem więcey umieć trzeba,
Rzekł Słowik, na to uszu niedały wam nieba;
J jakkolwiek siędziecie, to z waszego składu,
W muzyce niebędzie ładu.

BRZYDKI CZŁOWIEK,

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Niemasz podobno dla człowieka dolegliwszego ciosu, jak wyrządzenie mu wzgardy która tym gorzey rani,im jest mniey zasłużoną. Wszakże ten, kto już ozięble ją znosi, niemoże się uważać za naylichszego członka w społeczeństwie; bo wzgarda jest piętném hańby,— a od tey, ludzi nieskażonych zasłania prawo. – Ztąd pochodzi, że nieraz naydotkliwsze urazy przebaczamy sobie nawzajem, lecz nigdy wzgardę.

Są przecież tak nierozważni i lekkomyślni junacy, że im się czasem z fizognomii ktoś niepodoba, i dopóty się niezaspokoją, póki mu niedadzą uczuć swojego wstrętu, przez szy-

derskie weyrzenie, albo czasem głośną przymówkę. Lecz że nieraz przykładnie ukarani, całe życie płochości swey odżałować niemogą; liczne wypadki, są dowodem tey prawdy oraz nauki. Następujące zdarzenie, którego tylko sama popędliwość, nie junakierya była ofiarą, niebez użytku może tu opowiemy.

W Strażburgu pewien officer francuzki, grał w billard, i w ciąż przegrywał. Jakiś człowiek, uderzający szpetnością twarzy, stał na sali i przypatrywał się grze. Officer, który żadnéy *partyi* wygrać niemogł, rzecze nakoniec w rozjątrzeniu: ”*Zdaje się, że tego Pana, czart namnie tu nasadził!* — Człowiek brzydki słowa na to niewyrzekł — Officer powtorzył mu to w same oczy.— ”*Gra w billard niezależy tylko od szczęścia*„ była zimna odpowiedź zaczepionego.— Lecz officer nieprzestał na tém: ”Widok fizognomii WPana, zawoła „ na niego z furyą, ma taki diabelski wpływ „ na grę moję, izbyś mi naywiększą łaskę zro„ bił, gdybyś chciał oddalić się z tego miey„ sca.„ — Z początku nieznajomy, z goryczą oparł się tak dziwacznemu żądaniu; lecz gdy officer, coraz uszczypliwszych wyrazów przeciwko szpetności jego używać zaczął, — wyszedł nakoniec w śród szyderskie potakiwania obecnych.—

Nazajutrz rano, usłyszał officer, że ktoś bardzo nieśmiało do drzwi mieszkania jego zapukał. — ”*Entrez!*„— i wchodzi brzydki czło-

wiek, ktòry grzecznie go przywitawszy, w tonie przyzwoitym rzecze: "Wiesz WPan jak mocno obraziłeś mnie w czoray. Jestem wprawdzie naywiększym nieprzyjacielem pojedynków; lecz w tym draźliwym wypadku, niepozostaje mi inny sposób, jąk prosić go o zadość uczynienie. — Z całego serca móy Panie, ktokolwiek WPan jesteś.„

Officer stanął na przeznaczoną godzinę,— spotkanie było na szpady,—obrażony ranił go w ramie. – Leczenie trwało sześć tygodni, poczém officer wyszedł na świat.— Na drugi dzień znowu ktoś we drzwi puka, i znowu wchodzi brzydki człowiek —"Co mi WPan rozkażesz?— Jużem raz WPanu powiedział, że pojedynków nienawidzę; ale niestety! obelga moja niejest jeszcze zatartą.. — O! jakto?.. czy WPan jeszcze żądasz spotkania? przerwał officer; służę mu jutro w południe, na témże samém mieyscu.„

Nastąpił drugi pojedynek,— officer odebrał ciężką ranę i dwa miesiące był leczony.

Zaledwie pewnego dnia pokazał się na przechadzce, zaraz nazajutrz musiał zawołać "*Entrez!*„ bo człowiek brzydki uprzedził go w zwyczayny sposob, o swoich odwiedzinach. "Nie-
„ uwierzysz mi WPan ile mnie to dolega, że
„ ten dziwaczny przesąd, zwany drogą hono-
„ ru, niezaspokoił mnie jeszcze. Zadane WPanu
„ ciosy, podług zdania znajomych, nie są wy-
„ starczające na zagładę mojey obelgi. Wiem
„ że WPana szlachetny sposòb myślenia nie-

„ dozwoli, abyś mnie w oczach ludzkich zo-
„ stawić chciał poniżonym.„

"Dobrze! dobrze! zawoła z roziątrzeniem officer, nietraćmy czasu!„— Wezwano *sekundantów* i walka się rozpoczęła natychmiast.—Tą razą officer z naywiększą natarczywością uderzył na swego przeciwnika; lecz on podług zwyczaju z zimną krwią ranił go prawie smiertelnie, i życząc prędkiego wyzdrowienia, wrócił do miasta. Młodość i szczęśliwa natura, przy staraniu zdatnych chirurgów, w cztery miesiące przywróciły mu zdrowie.

Rano tego samego dnia, w ktòrym dał się pierwszy raz widzieć publicznie, zaprosił kilku przyjaciół do siebie. W liczbie tych znaydowali się i tacy, ktòrzy pod ów czas przytomni byli grze w billard; i lubo swoje tak niepomyślne pojedynki wspomniał im obojętnie, z pewną atoli niespokoynością słuchał, czy znowu kto we drzwi nie zapuka.—Nie długo na to czekał.-Brzydki człowiek, wymawiając z uniżonością swoje natręctwo i złorzecząc jak dawniey barbarzyńskim zwyczajom, nakazującym krwi rozlew za obrazę honoru, dodał jeszcze i to: "Znajomi i krewni moi koniecznie utrzymują, iż rodzay doznanéy krzywdy od WPana, wymaga nieodzownie aby jeden z nas poległ!..„ Na te słowa, żalem i gniewem uniesiony officer, zawołał: " I ten raz nieuchybię WPanu! lecz muszę mu oświadczyć że niepoymuję, na honor! jak można bydź tak nieobłaganym, za jedno marne słowo w cierp-

kim humorze... z prędkości wyrzeczone? —Jakto! łaskawy Panie? rzecze tamten; więc mnie WPan będąc w cierpkim humorze, przez prędkość tylko obraziłeś? — Nieinaczey, odpowié officer, ja nikogo napastować nielubię.— Ey! czemuż mi tego WPan, zaraz przed pierwszym pojedynkiem, przynaymniey w obec tych świadków nieraczyłeś powiedzieć, a byłoby do żadnego nieprzyszło. Więcey byłbym od WPana nieżądał; i ponieważ obecni goście słyszeli teraz to szlachetne twoje wyznanie, jestem zupełnie kontent, i dziękuję mu serdecznie, za przywróconą mi spokoyność.—

Officer wypogodził natychmiast czoło, i uściskawszy brzydkiego przeciwnika, z żołnierską otwartością zaprosił go do śniadania. - Wesołość i dowcipne żarty, towarzyszyły reszcie uczty.—Opowiadano sobie nawzajem rozmaite zdarzenia pojedynkowe, gdzie wedle powszechnego zwyczaju jedna część była prawdy, a trzy czwarte przydatków, dla lepszego brzmienia powieści. "Co domnie, odezwie się brzydki człowiek, już nieraz miałem to nieszczęście bydź wyszydzonym za nieurodność mey twarzy, jakbym ja temu był co winien; i mimo nienawidzenia pojedynków, zmuszany zostawałem zabijać moich przeciwników. Bo powiedzcież mi Panowie, przyda jakoby wspomnieniem tém rozjątrzony, jestżem w istocie taki szpetny? — *Ale bynaymniey! bynaymniey!„* odpowiedziano bardzo grzecznie.„ J odtąd brzydki człowiek za miłego uchodził.

WIADOMOŚĆ
HISTORYCZNO-KRYTYCZNA O PISMACH PERYODYCZNYCH w POLSZCZE.
DOPEŁNIENIE.

Wstęp. *Już po wyjściu na widok szóstego tomiku Flory, przypomniałem sobie dopiéro dwa pisma peryodyczne, mające właśnie prawo do chlubnego wspomnienia, to jest:* Gazetę Wieyską i Sylwana. — *Upadek zagrażający z początku równie Florze, jak licznym dziś jey towarzyszom, zdawał się już pozbawiać mnie nadziei dopełnienia wiadomości, tyle interessowney dla postępu literatury. — W chwili zwątpienia o dalszych sześciu tomikach, przybyły nowe pisma wychodzące w Warszawie; później nadszedł trzeci numer tegorocznych* Rozmaitości Lwowskich, *z którego wyczytałem wytknięte sobie pomyłki przez Pana* Uważnickiego *na karcie* 23. — *Ogołém przybyło mi naraz ośm pism peryodycznych do poprzedniego zbioru.*

Niżeli jednak przystąpię do opisania ich po krótce: winienem nayprzód, korzystając z przestróg P. Uważnickiego, *sprostować własne usterki, lecz razem jego mniey słuszną i nie na swojém mieyscu zrobioną mi przestrogę odeprzeć.— Wspomina autor nayprzód, że Wiadomość historyczna krytyczna o pismach peryodycznych w Polszcze, jest* małem dopełnieniem *tego, co już w tym przedmiocie P.P. Bendkowski i Chłędowski powiedzieli. Prawda że dziełu pierwszego, należy niemal to wszystko, co się tyczy pism polskich do roku* 1812*;— z tego zaś co drugi powiedzieć miał, niemógłem właśnie korzystać, dla niemożności dostania na ten czas tych numerów pamiętnika lwowskiego, w których się rzeczony artykuł znayduje; za tém poszło, że przypominając go sobie tylko z dawnieyszego czytania, popełniłem drobne omyłki, które tu zaraz prostuję: że Gazeta Lwowska nie od roku* 1806. *lecz od* 1811. *początek wzięła, Pamiętnik zaś Lwowski nie*

od 1817. *lecz od* 1816. *a Galicyjski nie od* 1822. *lecz od* 1821. *wychodził.* — *Dziękując Panu* Uważnickiemu *za to naprowadzenie mnie na dobrą drogę, z którey mimowolnie zboczyłem; niemogę zamilczeć przykrego mi zarzutu; jakobym wspominając o* Pszczole Polskiey, *pociski na nią wywarł. To co powiedziałem o Pszczole, a mianowicie pod względem złey polszczyzny, stylu i smaku, niezaprzeczoną jest prawdą, z czystego wypływającą przekonania. Co się zaś tyczy sporów z jey wydawcą, te lubo niezasługują na pochwałę, nie są jednakże tey natury, jaką im Pan Uważnicki z za nadto srogiém nadużyciem przydanego sobie nazwiska, bo z obrazą wszelkiey przyzwoitości* i nieuważnie *naznaczył.*

Pszczoła ta, przez ubliżanie innym pismom, zaczepiając z kolei jedne po drugich, w owym zbyt nieszykownym artykule o Duchu Pism Czasowych, *chcąc się wynieść nad po-*

ziom, sama sobie winę przypisać może, jeśli z przyciętém żądłem i skrzydłami, w brew pochlebnym nadziejom, spotkał ją los Jkara. —

---

99. Chwile Spoczynku. Pisemko tygodniowe od Stycznia 1827. r. wychodzące w Warszawie, w rodzaju dziennika mód; lekkim pòezyom i innym drobnostkom poświęcone. Numera które nas tu podochodziły, niezawierają nic godnego wspomnienia. —

100. Dziennik Polityczny. (1794.) Wychodził we Lwowie. Przypadkiem zdarzyło mi się raz widzieć jeden numer podobno tego pisma, i ile zapamiętam, zawierał przedmioty polityczne i jakiś artykuł historyczno-jeograficzny, w stylu trochę gotyckim. (*Rozmaitości Lwowskie N.* 3. *r.* 1827.)

101. Dziennik Podróży (1827.) Wychodzi w Warszawie raz na miesiąc. Rzecz nader piękna, ważna, dla każdego interessowna. Pismo peryodyczne w tym rodzaju, wiele in-

nych przetrwać powinno. Życzyć jednak należy, aby wydanie cokolwiek na większą *skalę* wzięte, obszernieysze bydź mogło; równie gdy ta gałęź literatury, tak mały jeszcze postęp w języku naszym uczyniła: czy niebyłoby z wielkim dla powszechności użytkiem, poświęcić w każdym numerze jeden *Artykuł* rozprawie chronologiczno-historyczney o wszystkich dawnych podróżo-pisach; jacy tylko w jakim języku pamiętniki swoje wydali; z krótkièm wyszczególnieniem treści rzeczy, a nawet i stosownymi ze znakomitszych wyimkami? Tym sposobem tenDziennik stanie się dla Polaków zbiorem encyklopedycznym przyjemnych i użytecznych wiadomości. Wszakże w podobnym rodzaju pismo, bez pewnego porządkowego rozkładu wydawane, więcèy utrudzi czytających bezszykowną mieszaniną przedmiotów, niż korzyści przyniesie. Dla tego życzylibyśmy Wydawcom aby przynaymniey na mieysce spisu rzeczy do każdego tomu, Słownik alfabetyczny krajów i ludów zwièdzonych dołączali.

102. Gazeta Polityczna. (1786.) Wychodziła we Lwowie w języku francuzkim; wcale nam nie jest znana. (*Rozmaitości Lwowskie* z *Roku* 1827.)

103. Gazeta Wieyska. (1817.-1818.) Raz w tydzień wydawana w Warszawie, w kształcie właściwym gazetom polskim, zawierała nowe odkrycia w rolnictwie i gospodarstwie domowém. Dla braku czytelników, mimo gorliwość wydawców i oczywiste pożytki, ustać musiała. Styl jasny, wybor doskonały przedmiotów, były niezaprzeczoną tego pisma zaletą.

104. Gazeta Polska. Od pierwszego Grudnia 1826. zaczęła wychodzić co dzień, wyjąwszy główne święta, w Warszawie; przeznaczona interessownym przedmiotom, a mianowicie *Polityce* i *Literaturze*. Niewchodząc w pierwszy— winniśmy oddać sprawiedliwą cześć drugiemu. Już od niejakiego czasu, pogrążyła się u nas w tak twardym snie krytyka, że korzystając z jey milczącego stanu, ladajakie ta-

lenta, wydawaniem w znaczney części miernych tłomaczeń, a miernieyszych jeszcze oryginalnych płodów, mogłyby z wielkim uszczerbkiem nauk i literatury oyczystey, zapełniać półki księgarskie, idąc w nieprawe wyścigi z prawdziwemi; — gdy teraz, dzięki wydawcom tey gazety, recenzye w niey umieszczane, jeżeli zarozumieniom niezdołają położyć tamy, przynaymniey chęć czytania mających, na dobrą ścieszkę w wyborze dzieł naprowadzą. —

105. Kuryer Krakowski. (1827.) Wychodzi w Krakowie od 20. Stycznia. Powszechney zabawie poświęcony, zawiera krytykę obyczajów, mody, nowości rozmaite i anegdoty.

106. Sylwan. (1822.-1827.) Dziennik leśny, obeymujący naukę leśnictwa i łowiectwa. Pismo szczególnych zalet w swym rodzaju, godne znaydowania się w ręku każdego dziedzica własności ziemskiey, jako przynoszące pożytki i zaszczyt umiejętnościom. Wydanie bardzo pię-

kne i z wielu rycinami. Dowiadujemy się że po niejakiey przerwie, znowu zaczyna wychodzić, Dawnieysze poszyty Sylwana, zupełnie są wyczerpane. —

W Roku 1812. *wychodziło w Warszawie pisemko polityczno-satyryczne, do owczasowych okoliczności; lecz niemając go dzisiay pod ręką, napisu nawet z pewnością oznaczyć niemożemy. Trwało kilka miesięcy.*

We Lwowie ma teraz wychodzić nowe pismo peryodyczne, jeśli można wierzyć artykułowi umieszczonemu w Nrze 3. *Rozmaitości pod tytułem*, "Bicz Krytyczny.„

MARYSIA z ANDRYCHOWA.

Powieść z roku 1793 i 1794.

§. III. GOŚĆ ZALOTNY w SKLEPIKU.

Za nadto mnie uniosła podeyrzliwość płocha;
Możesz niebyć zazdrosnym kto nad życie kocha?
Nieszpory Sycylijskie Trag. Akt I. Sc. III.

Filozofowie nam prawią, że życie ludzkie jest snem; lecz kochałże filozof?— doznałże on pierwszey miłości? — Nie zapewne; ci co tę przyjęli zasadę, niedoświadczyli podobnego uczucia, inaczey nawet sen prawdziwych kochanków życiem by nazywali.

Nigdy jeszcze z taką radością, niepowitałem wschodu słońca, — nigdy dusza moja niemiała do walczenia z natłokiem tylu wyobrażeń snujących się rojem po głowie, w kilku godzinach zawróconey w dziękami anielskiey dziewczyny.... — jak po pierwszém poznaniu i rozeyściu się z Marysią. Nadaremnie kazał mi rodzic, powróciwszy do domu, użyć kilka go-

dzin spoczynku. "Gdzie ja bym spał? rzekłem nagle, z radosnem spoyrzeniem w jego drżymiące oczy: ja jeszcze nigdy w dzień niespałem! Raczey wy kochany oycze, użyjcie snu miłego, boście się unużyli, a ja za was w sklepiku będę siedział.— Ale bo może myślisz, że Marysia będzie także za swego siedzieć? — O! nie dlatego, ale wszelako....— No jakże ci tedy poszło? — Nad wszelkie spodziéwanie, móy oycze.— A co mówisz, niepiękna? — Jak róża rozkwitająca. — Więc ja się znam na twarzyczkach Pawełku? — J bardzo. — Wiesz co Pawełku? Pan Marcin tyle mi nagadał różnych rzeczy... — Do prawdy? — Marysia jest tak dobrze jak twoją, byleś sam chciał. — O móy Boże! — Jakem *Sodalis Marianus!* Ja ci się nawet przyznam, że to było oddawna życzenie nasze. — Czy podobna? — Známy się od małego. Móy śp. oyciec a twóy dziadek, przywiózł go zemną do Warszawy, będzie temu trzydzieści sześć lat. Pan Marcin zaraz tu so-

bie podobał i chciał przy ciotce zostać; ale że jeszcze był młody i przytém na posélki handlowe wyśmienity, więc musiał przy tkaczach w Andrychowie po całey zimie przesiadywać, i tylko na lato do Warszawy przyjeżdzał i to prawie zawsześmy razem wędrowali. Ten dworek co dziś posiada, dostał mu się po ciotce, ktòra go namiętnie kochała. Mieszkała tam niegdy uboga wdowa, i miała śliczną còrkę; z tąd jawno, żeśmy oba za nią szaleli. Dziewczyna niewiedziała którego wybrać, a my niemogliśmy się zgodzić, który ktòremu ma ustąpić. Jednego razu przyszedł do mnie Pan Marcin rzéwnemi łzami zalany, wyznając, że jego szczęście i życie, od mojey łaski zależy, i nieboraczek padł mi do nóg! Domyśliłem ci ja się zaraz w co on zagrywa, ale mi także dziewczyna głęboko w serce zalazła. Z początku opierałem się naleganiu, i mówiłem, że ja też nieradbym ją utracić, ale rzekłem, niech się to bałamuctwo już raz między nami zakończy. Kogo

ona sama wybierze, daymy sobie poczciwe słowo, temu jey drugi ustąpi. "Ja tak niechcę „ rzekł do mnie, tym sposobem jeden z nas mu- „ siałby doznać pogardy i miałby wieczny żal „ do drugiego.„ — Ha! to niewiedzieć jak zrobić, odpowiedziałem ja; bo jak znowu mimo jey woli jeden drugiemu jey odstąpi, to też tak się będzie patrzało, jakby nią wzgardził. — "Nie! nie! zawołał z głośném łkaniem Pan Marcin, to wszystko ty sam Woytusiu (serdecznie mię ściskając przydał) bez obrazy możesz zakończyć. Oto ci się sumiennie przyznam, rzekł daley, żem prosto od niey do cię przybiegł. Oświadczyłem jey krótko, że żyć bez niey dłużéy niemogę, zaklinając iżby mi raz powiedziała, czego się mam spodziewać, czy zgonu, czy jey ręki? Długo myślała Salusia co z tém zrobić, ale westchnąwszy wreście i poyrzawszy na mnie litościwie, rzekła: "Jużciż ja wiem, „ że tu jednego trzeba koniecznie wybrać; ale „ Bogiem się świadczę, żeście oba z Woytu-

„ siem godni, abym wam serdecznie sprzyja-
„ ła; wszelako kiedyście tacy natarczywi, to
„ niechże Woytuś powié, że niebędzie do mnie
„ miał żalu i urazy, tóż wam się już i od-
„ dam.„— Niechciéyże tedy przyjacielu mojey
zguby, rzekł nareście, porwawszy mnie za szy-
ję, Bog ci to stokrotnie nadgrodzi, i oto mo-
ja wszystka krew między Salusią i tobą zosta-
nie podzielona!„ —

"Dòpieroż tu się rozpłakał jako dziécie, i tak mnie zmiękczył móy Pawełku, żem już dłużey niemògł wytrzymać; i lubom kochał Salusię zapamiętale, jednak pomyślawszy, że oba jey mieć niemożemy: takci z naywiększą żałobą odstąpiłem, bo widno było, że on by tego nieprzemògł swym żywotem. Otóż to widzisz Pawełku, od tey chwili, mogę powiedzieć: że choć Salusia, przed lat dwunastu zachorowawszy raz nagle w Andrychowie, umarła; Pan Marcin został wierny w przyjaźni któ-

rą mi raz poślubił, i dałby Bóg, abyśmy w jednym grobie kiedyś spoczywali.„ —

Przypomnienie to wycisło tkliwe łzy poczciwemu oycu i ledwiem go uprosił, że spać poszedł, a mnie dał klucz do sklepu. Odmieniwszy więc suknie, jednak wymuskany jak dotąd nigdy jeszcze, udałem się na mieysce z naszym starym Kasperkiem, który o cenie każdey prawie sztuczki towaru dokładnie wiedział. Jakaż była moja rozkosz i zachwycenie, kiedy po otwarciu kramnicy, wyjrzawszy troche w podle, postrzegłem moją Marysię, już także oyca swego zastępującą, w towarzystwie owey góralki co nas wczoray do altanny zaprowadziła! Zaraz mi serce pukać zaczęło, jak ów Niemiec o jałmużnie wędrujący, i ledwie nie wyskoczyło do niey. Poczciwa dziewczyna pomyślałem, dopuściłaż by ona swemu oycu po całonocnym z dobremi przyjacioły niewywczasie, mozolić się przedażą w sklepie, a sama przez ten czas używać wypoczynku? Nie!

ona tak go kocha i czci, jak ja mojego; serca nasze zjednoczone miłością tak czystą i tak namiętną ku sobie, niemogą bydź odmiennych uczuciów ku rodzicom. — Już chciałem zostawić na moment wiernego Kasperka w sklepie, a sam frunąć do niey na samczych skrzydłach turkawki, kiedy ni z tąd ni z owąd, musiałem z tym starym gdérą, wytrzymać następującą bardzo niesmaczną rozmowę.

Kasperek. (*głaszcząc się po łysey czuprynie i płaczących wąsach.*) Dokądże Bóg prowadzi?

Ja. Tu, niedaleko, mòy Kasperku.

Kasperek. To ja sam zostanę w sklepie?

Ja. Wnet powrócę, jeszcze też dosyć rano, i tak się nic niesprzeda.

Kasperek. Nie oto chodzi, bo ja tu nieoszukam i niedam się oszukać..: (*z gniéwem*) Jegomość stary zna mnie dobrze....

Ja. O cóż więc mòy kochany Kasperku?

Kasperek. (*podrzéźniając.*) Mòy kochany Kasperku!... Ja wiem o co mi chodzi.

Ja. (*pogłaskawszy go.*) No, tylko się niegniéway. Może ci to markotno, iż cię onegdy nieprzywitałem od razu? Przebacz że mi; wiesz, że to już 6. lat minęło, jak niewidziałem oyca; zatym niedziw, iż cię na chwilę zapomniałem.

Kasperek (*udobruchany.*) Ey! do czegoż to znowu, żebym ja miał na WPana oto bydź zagniewanym? wcale mam co innego na sercu. Wypiastowałem WPana,— kochałem jak swoje dziécie; zatym niemoże mi też bydź po myśli, że.... ale co tam, wolę już nic niemówić. (*wpadając znowu w zły humor.*) Niech tam! —

Ja. Nierozumiem cię Kasperku; radbym z duszy wiedzieć przyczynę niespokoyności, którą czytam w twych oczach. Powiedz że mi proszę cię. —

Kasperek. Ey! na co mi wtykać nos w cudze sprawy. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Ja. (*niecierpliwie.*) Dziwny jesteś z twojemi przekąsami, to jest ni w pięć ni w dziewięć.—

Kasperek. Tak... zapewne.... bo ja jestem głupi Kasperek, stary baja.

Ja. Dla czegóż wyraźnie mówić niechcesz?

Kasperek. Bo wiem że to się na nic niezda.

Ja. Cóż ci to szkodzi spróbować? Gaday.

Kasperek. Poznał Pan Pawełek wczoray Marysię? co?...

Ja. Poznałem, i nawet.. żebyś wiedział... iż...

Kasperek. Pokochałem... nieprawdaż? Tfy! (*trzęsąc głową.*) Ja to zaraz przepowiedziałem, że ta fryjerka....

Ja. No, no? do czegòż zmierza taka mowa?

Kasperek. A mówiłem staremu Jegomości że to na diabła się niezda... i otóż masz!...

Ja. Przestrzegam cię Kasperku, że sobie za wiele brykasz....

Kasperek. (*uniesiony gwałtownie.*) Co! ja brykam! ja brykam! Ja stary, wierny, przychylny z duszą i ciałem, gotów się dać za was powiesić, poćwiertować,... ja brykam? Dobrze, niech tak będzie, ale co prawda, co Bogu i

ludziom wiadomo, wypowiem, wybaję, wyplotę, wygdéram!... Tak, ta śliczna, ta czarująca, ta bogata WPana Marysieńka, coście ją oba ze starym Jegomością tak przed chwilą pod nieba wynosili; bo ja to wszystko słyszałem,.. jest... jest... tfy! pożal się Boże wspomnieć. — Ale niech Pan Paweł nietraci sobie czasu i na umizgi pośpieszy! Panna jest w sklepiku,... może sama,... *notabene* jeśli pewien Jegomość jeszcze niewstał... *et cætera bomba!..* Więcey nietrunę, co wiem, to wiem dla siebie.

Ja. Słuchayno starcze? Spoyrz w górę i połóż rękę na sercu, i zastanów się dobrze coś powiedział.....

Kasperek. Tam w górze jest sąd przed którym wszyscy staniemy, a ja zapewne pierwey od was; tu w sercu jest sumienie, żadną obłudą i fałszem nieskalane, a na tych ustach jak żyję, kłamstwo niepostało!...

Ja. Jesteś że przekonany o tém co chcesz powiedzieć?...

Kasperek. Przysięgnę, że ta Panienka za szeląg niema cnoty; że każdego chce złowić w swoje sidła, i ze wszystkiemi jednaka...

Ja. Bo żadnego jeszcze niekochała do tych czas.

Kasperek. Żadnego jeszcze niekochała?... ho! ona wszystkich kocha, i każdy to od niey usłyszy, kiedy zechce.,,

Ostatnie słowa Kasperka, na wylot mnie przeszyły. To prawda pomyślałem, że ona zaraz w pierwszych weyrzeniach, to słodkie zrobiła mi wyznanie, choć tylko ściśnieniem ręki była zapytywana?... Miałażby niestety! bydź tak płochą? Ona, która na wspomnienie swego dziadka, tkliwe łzy wyroniła?... Marysia tak niewinna, tak szczera, tak dziewiczey pełna prostoty?.. O Boże! mogłyżby to bydź skutki wychowania w stolicy, któreby się aż na dziewczynę miernego stanu rozlewać miały?.. O Marysiu! tyżbyś z rozgorzałego tobą serca, igraszkę sobie czynić śmiałą?... —

Kiedym tak gorzko dumał, stojąc nieporuszony w mieyscu, przerwał milczenie moje Kasperek temi słowy:

"Co dzień się tu do jey sklepiku niezminą paniczyki i officerki! —

Ja. (*z gniewem.*) Już to słyszałem z dziesięć razy. —

Kasperek. Przecież ja na własne oczy widuję te umizgi, a to już licha warto, kiedy panienka wszystkim rada. Oy! niepróżno tam ze zamku królewskiego jeden pazik ustawicznie koło niey się zakręca;— a już tu te dworskie jamniczki niejednę naypoczciwszą dziewczynę wykierowały na wielką *Damę*....— ja wiem dobrze co mówię. Ten Jegomość, słyszałem od ludzi wiary godnych, że już nawet i po xiężycu, u którego każdy kot szary, ma to szczęście widywać się z Panną Maryanną. —

Ja. To jest potwarz! ohydna złość!

Kasperek. Dobrze, dobrze, niech sobie będzie potwarz, i złość, pokaże się to wszyst-

ko. Jabym trzech groszy niedał, że i Pan Paweł już wczoray został pokochanym?.. bo tak z kolei wypadało. A co? albo nieprawda? Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Panna, jeżeli się niemylę, dużo chce mieć kochanków. —

Ja. (*z gniewem*) Domyślam się już reszty. Cały ten zapas plotek, udzielił ci pewnie Pan Stefan sprzysięgły Marysi nieprzyjaciel i obgadywacz. Żaliła się też właśnie wczoray na niego i wszyscy mu nadawali przydomek pleciucha i zazdrośnika. —

Kasperek. No, no, już więcey słowa nierzeknę. A ha! otóż jak widzę i Pan Paź przeleciał przez ulicę. Patrzayże WPan teraz Panie Pawle! — Otóż i do niey smyk!.. Masz go WPan!.. — Teraz proszę do Panny Maryanny? Ja stary, głupi Kasperek, o niczém niewiem co się dzieje, gdyram, plotę, ni w pięć ni w dziewięć.„ —

Nowy grot uderzył we mnie! Już na to nic niepowiedziałem Kasperkowi, tylko wy-

szedłszy przed sklepik, siadłem na kamienney ławeczce, naydotkliwiey strapiony. Mimo tak oczywiste dowody jey niewinności i cnoty, których wczoray doznałem, piekielna podeyrzliwość opanowała moją duszę. Owe jedwabne domniemania, jakie sam sobie przed godziną tworzyłem, o nienagannych zalotach młodzi, których kilkunastu składało orszak hołdowniczy jey wielbicielów: znikły w jedney minucie, i czarna melancholia okryła mnie zgryzot siermięgą.

Długo siedziałem jak przykuty; postanawiając sobie unikać oglądania téy zdradliwey dziewczyny, której tak słodka powierzchowność, ukrywać mogła tyle bezczelnej obłudy.

Ale ktoż pokochawszy nad życie, długo zostaje w tym letargu niechęci i odrazy? Po woli stygła we mnie gorączka nienawiści, i chmury zagrażające piorunem zniweczenia moim nadziejom, rozpraszać się zaczęły; i kiedy tryumfujący Kasperek, stanąwszy we drzwiach skle-

pu, gwizdał coś na nutę krakowską, serce moje poczuło w sobie słodycz wczorayszych słów Marysi i szepnęło mi skrycie: *Niesądź aż się przekonasz,— nierozpaczay aż ci ostatni promyk nadziei zgaśnie,— niewierz cudzym językom, bo od tego masz własne oczy.*— Tak!... pomyślałem, zerwiymy od razu tę dręczącą zasłonę; teraz jest pora, może naydogodnieysza. Daley Pawełku! nabierz odwagi, niestrachay się dworską postacią pazika, co cię może wzgardą powita; idź śmiało i dowiédz się naocznie o twoim losie!...

Poszedłem;— bo tylko było kilka kroków.— Łytki drżały podemną, — alem już na nic niezważał.— Stawam przed progiem Marysi i widzę ją w teyże samey anielskiey, w tey czystey i niewinney postaci jak była wczoray, rozmawiającą z pazikiem, ale tak skromnie i w przytomności goralki, że w oka mgnieniu gotów byłem zapomnieć o truciznie ktòra mnie pożerała. Niezmieszana moim widokiem, przeprosiła Pazia, że mu dopiéro na

jutro wygotuje rachunek, a gdy on pożegnawszy ją grzecznie odszedł, — przybliżyła się do mnie, i z wdzięcznym uśmiéchem ścisła mnie za rękę.— "*Otóż jesteśmy sami*, rzekła pieszczotliwym głosem, jakby przeczuła moją rozmowę z Kasperkiem, i pragnęła rozproszyć smutek. – *Dlaczegóż ta posępność na twarzy?*

Ja. Możnaż to zawsze bydź wesołym?

Marysia. Móy Boże! a cóż to Pawełkowi?

Ja. Tak, źle mi trochę na sercu.... krew mi coś niestatkuje... miewam czasem gwałtowne bicie; — ale się to powoli uspokoi, dlategom wyszedł na ulicę, żeby troche powietrza złapać....

Marysia. (*bardzo troskliwie.*) Niechże Pawełek wniydzie daley... (*biorąc mnie za rękę i widząc mały opór.*) Móy Pawełku!....„—

To słowo *Móy!*... tak tkliwie, tak żałośnie wyrzekła, w oczach jey, taka czułość się malowała: że nawet przekonany o niewierności, niepotrafiłby jey się nikt oprzeć. Wszedłem więc, i posadziła mnie w krześle swo-

jego oyca. "Małgosiu! zawoła na góralkę, skocz no do apteki Wasilewskiego naprzeciwko, i przynieś owych kropli co to je rodzic nieraz bierze?

Ja. Ale nietrzeba, nie; już mi lepiéy. Nic dziwnego; pierwszy raz w życiu niespałem przez całą noc, - nayprędzey więc może ztąd.

Marysia. (*po niejakim przestanku, niespuszczając mnie z oka.*) Ey!... mnie się zdaje, że Pawełkowi coś więcey nad to to dolega... (*ściskając mnie za rękę.*) Ach! jakbym ja była szczęśliwa! gdyby mi swoją boleść powierzył, żebym ją dzielić mogła? — Mnie się zdaje, że gdybym ja dziś miała jaką tęsknotę na sercu, toby tylko jeden Pawełek o niey wiedział...— (*widząc mnie w ciąż zasępionym i milczącym*) Boże jakże każda godzina którą żyć zaczynamy, jest dla nas w swey przyszłości niedocieczoną?... Ja dziś miałam nadzieję, samę tylko radość dzielić z Pawełkiem, a on jest taki posępny, i skryty, że smutek swóy chce przedemną zataić.

Ja. Do czegóż się to przyda?...

Marysia. (*nieco przerażona.*) Nie tak wczoray rozmawialiśmy z sobą.

Ja. To prawda, że dzień wczorayszy był nayszczęśliwszy w mojém życiu...

Marysia. Skądże dziś tak nagła odmiana? (*puszczając mi rękę którą dotąd trzymała.*) Niepoymuję przyczyny.

Ja. (*z uczuciem.*) Niepoymuje Marysia? A gdyby też ona sama nią była?

Marysia. (*zdziwiona.*) Ja?... a to jakim sposobem?...

Ja. Nigdym jeszcze niekochał.....

Marysia. (*przerywając*) I ja nigdy Pawełku!..

Ja. Biada mnie że tak sądziłem!...

Marysia. (*obrażona.*) Cóż to za podeyrzenie?.. Dzięki Bogu, jeszcze nawet i żartem nieskłamałam jak żyję. — Lecz wczoraysza rozmowa o Stefanie, zaczyna mi otwierać oczy. — Domyślam się o co idzie. Dobrze, niech tak zostanie. (*do swéy góralki.*) Widzisz Małgosiu, na co mi wyszła moja szczerość porywcza?.. Jestem podeyrzaną... o móy Boże!.. (*płacząc*) bodayżem była niedożyła tey chwili!... Cóżbym to miała za przyczynę zwodzić kogo?.. ja tego nieumiem!....

Ja. (*biorąc ją za rękę.*) Marysiu!... dobra Marysiu!

Marysia. Nie Pawełku, niechcę twego politowania. Za prędkośmy sobie poufali nawzajem, lepiéy przeto za świéża, ten błąd płochości naprawić. Zadałeś mi głęboką ranę, ale ją ufność w Bogu i niewinność moja uleczy. — Łzy moje już nienależą do nikogo. —

Ja. Marysiu, posłuchay mnie dobrotliwie, a dopiero wyrzeczesz to, co ci twe serce doradzi. Ja w bawełnę nieumiem obwijać prawdy; to co czuję wynurzam, niepytając się czy to na dobre, albo na złe mi wyjdzie. Uyrza-

łem cię... i utraciłem wolność.— Jeden twóy uśmiéch niewinny, jedno twoje dziewicze słowo: rozproszyły wszystkie zarzuty, o których mnie ludzkie języki uprzedzały przeciwko tobie. Wiesz z jaką ci szczerością wszystko wczoray wyznałem, i gdyś mi odkryła twe serce, przyrzekłem gardzić obmową.

Marysia. (*z powagą, którą mnie zrumieniła.*) Więc trzeba było przy tém zostać, i niewierzyć nowym podszeptom.

Ja. Pozwól dokończyć. Od ciebie moje szczęście, i moje życie jedynie dziś zawisło....

Marysia. Nie, już teraz nie!..

Ja. Więc będę milczał.— (*z goryczą.*) Jutro zaraz wrócę do Andrychowa...— niezostanę tu...— nieobawiay się natręctwa! —

Marysia. (*pełna żalu.*) Niechciałabym przynaymniey, żebyś o mnie w złey myśli się oddalał. Dla tego, pragnę wiedzieć, co mogło przyczynić się tak nagle do tey krzywdzącey odmiany?... Proszę Pawełka niech mi powie.— Przyrzekam na imie matki moiéy, któréy pamięć jest mi naydroższą, że ktokolwiek mnie mógł oczernić, będę prosiła Boga, aby mu to przebaczył, tak jak ja mu z serca przebaczam.

Ja. (*niemogąc wstrzymać łez.*) Więc mnie oddalasz na wieki?.. Niech tak będzie. Ja temu niewinieniem, że ledwie powróciłem do domu, bolesne powitały mnie wieści: że Marysia niechce znać stałey miłości;— że ją każdemu wyznaje, a dla nikogo nie jest czułą; — że

jey od rana do wieczora przyjemne są hołdy młodzieży, i właśnie że ten Jegomość co dopiero z tąd wybiegł.... (*z przygryzkiem*) że ten Paź... jest nayszczęśliwszy z nas wszystkich....

Marysia. (*nagle.*) Dosyć tego!—Jestem płochą, niestałą, zalotną, może nawet szacunku już niegodną!... Ale niech się Pawełek nietroszczy,—przyjdzie czas, że sam inaczey sądzić mnie będzie. — Tak ten Jegomość co z tąd przed chwilą wybiegł nazywa się N. * * * — jest paziem przy królu i bardzo często tu przebywa, to jest: ile razy potrzebuje pożyczyć, lub chce długu upłacić.... (*Otwiera stolik i wydobywa książkę.*) Znayduje się tu i więcey tych czcicieli i hołdowników, a nawet z połowa młodzieży, co w czoray z nami bawili. Niegodzi się poprawdzie stanu cudzey kieszeni zdradzać; ale ja mam więcey zaufania w poczciwości Pawełka, niżeli on miał w mojey.„

To rzekłszy, otworzyła książkę, porzuciła mi ją na stole, i niemogąc wstrzymać boleści która jey serce krajała, wyszła do przyległey izdebki.— Uyrzałem szereg młodych dłużników Pana Marcina, będącego jedynym w całey Warszawie lichwiarzem, co na *podpisanego* i bez *procentu* pożyczał. —

Małgosia. (*patrząc mi w oczy.*) A cóż teraz Pan Paweł na to?... A jakto można było tak bez namysłu wierzyć obmowie i posądzać?... To prawda, że niejeden z tych paniczyków młodych, wynurzał mojey Panience

swą miłość; ale niech mnie Bóg skarze, jeśli który co podobnego w spoyrzeniu nawet uzyskał, co Pan Paweł z ust w czoray odebrałeś! Biédna! załedwo się uradowała nadzieją powiedzenia Panu Pawłowi tyle przyjemnych rzeczy, które odchodząc do miasta, usłyszała od oyca....

Ja. Przez Boga! mów, cóż takiego?—

Małgosia. Na co się to już przyda?

Ja. Miałażby Marysia nieubłaganą zostać?—

Małgosia. Znam ją od dziecka; — jak raz naprzeciw komu żal poweźmie, to niepodobna ją nakłonić do pojednania.— Prawie jak tylko rozjechali się goście, tak Pan Marcin pijąc berberysowe ziołka, kazał panience siąśdź przy sobie i rzekł: "A wiesz ty co moja Marysiu?
„ Cóż tatulu? — *Notabene*, podobał że ci się
„ Pawełek? — Przyjemny chłopiec. — Kubek
„ w kubek jak oyciec, nieprawdaż? — O tém
„ nieumiem sądzić, ale zdaje się bydź samą
„ dobrocią i szczerością. — Ja też tak myślę,
„ a nawet i co więcey. Czy kochałabyś go
„ ty Marysiu? No! tylko bez ogródki. Mów
„ śmiało. Dał nam Pan Bòg nielada mająte-
„ czek. Pan Woyciech także nieubogi. Obo-
„ jeście jedynacy. Daley Marysiu co ty nato?
„ — Ja go już kocham tatulu! (odpowie roz-
„ czulona dziewczyna, kryjąc ròżane lica w je-
„ go dłonie,) i on mnie nawzajem kocha... —
„ Bogu dzięki! Bogu dzięki! (rzekł stary, o-
„ cierając łzy, co mu aż na wąsy ściekněły,)

„ toście się widzę niedługo zgadywali. Niech „ cię Pan Jezns błogosławi, kiedy tak; otóż „ to ja dopiéro będę prawdziwie szczęśliwy, „ jak się do czekam z ciebie Marysieńku...„ — —Hi, hi, hi, hi....

JA. J czegóż się tak śmiejesz? —

MAŁGOSIA. Hi, hi, hi!.. bo powiedział: wnucząt!... Oba z waszym rodzicem, dali sobie wczoray słowo, że was na przyszłe urodziny Pana Marcina pożenią. —

JA. Aż na przyszłe?..

MAŁGOSIA. Ho! bo Pan Marcin, uchoway Boże! on ma ten dzień, wyjąwszy święta kościelne, za nayuroczystszy na całym świecie! W ten dzień nayprzód urodził się, to jasna rzecz; — w ten dzień powtóre, został dziedzicem dworku na Nalewkach; — w ten dzień brał ślub ze swoją śp. nieboszczką; — w ten dzień tonął na Wiśle i Pan Bóg wyratował; — w ten dzień.... — Więcey już niepamiętam; dosyć iżby nigdy inaczéy córki za mąż niewydał, tylko w ten dzień. (*wzdychając.*) Ale co teraz to może z tego nic nie będzie.

JA. Któż to wie? Ja mam jeszcze nadzieję w szczerym żalu i dobroci serca Marysi.

MAŁGOSIA, (*z niepewnością.*) Day Boże, aby to co pomogło...„ —

Lecz tu już niezważam na jey słowa,— i śpieszę do izdebki, — chcąc się rzucić do nóg Marysi. O Boże! w jakimż ją stanie znayduję?... gorzkich łez wylewającą strumienie! —

Rozumiałem, że mnie z pogardą odprawi będąc tak ciężko obrażona;— lecz gdy u nóg jey padłem, ona podniosła mnie dobrotliwie, i rzewnie płacząc rzekła: "Nie Pawełku! ja nato niezasługuję, abyś ty się aż do czołgania u nóg moich poniżał!... Ale cię na wszystko zaklinam, przestań już myśleć o mnie... — Niemoglibyśmy żyć szczęśliwi, kiedy pierwsze chwile zaprzyjaźnienia, tylu nas przeciwnościami dotknęły. *Paź nayszczęśliwszy ze wszystkich!* zawszeby ci zatruwał ufność w twey towarzyszce. — Nowe pozory, możeby nawet i to ostatnie uniewinnienie się przed tobą, które jey tyle łez wydarło, zniweczyć potrafiły! Widać żeśmy niebyli przeznaczeni dla siebie. Tak Pawełku, wczoray o tey godzinie uczułam pierwsze uderzenie serca dla ciebie:— dziś ta sama godzina, niech będzie świadkiem rozłączenia. Ty byłeś pierwszy i ostatni!...„

Po tych słowach zamilkła i twarz łzami zalaną ukryła w chustkę... Stałem jak wryty, — w oczach mi się zaćmiło, — gwałtowna żałość tak mnie ścisnęła za serce, że z początku ni łzy uronić, ani słowa wyrzec niemogłem.

"Więc już na zawsze!... po niejakiey chwili zawołam, nazawsze porzucasz mnie Marysiu... i wieczną dotykasz wzgardą! Nic że cię już wzruszyć niezdoła?.. Także prędko zmieniłaś serce, zamiast raczéy ulitować się nad szaleńcem, który cię mimowolnie obraził?... — Serce dla ciebie zmienić?... o Pawełku!.. tego

ja nigdy niezdołam, odpowié dziewczyna ze łkaniem. Nie, niedowiesz się nigdy, ażeby inny prócz ciebie, znalazł do niego przystęp.— Tysiąc razy srozsze pociski zadajesz mi przez to wyznanie, Marysiu! Tyle czułości i dobroci, zgadzająż się z tém okrutném postanowieniem? Lecz zasłużyłem na to, rzekłem daley z ostatnią już rozpaczą i łzami, póydę i sam siebie ukarzę.... Bądź zdrowa!..

"Stóy Pawełku!„.. drżąca zawoła Marysia — a w tém przybywa Pan Swierzawski, i widząc co się dzieje, temi słowy nas wita: "Dzieci, Bóg z wami! a cóż to za drama u licha? Milczycie jak zaczarowane figurki? Maryniu! cóż to ma znaczyć? —

Marysia. (*ocierając łzy.*) Nic to nic, Panie Swierzawski; zwyczaynie sobie rozmawiamy o naszych rodzicach, i wspominając ukochane osoby, które już dziś nieżyją...

Ja. (*z rozpaczą.*) Niewierz jey WPan Dobrodziey, niewierz okrutney dziewczynie! Oycowie nasi prawie już od dzieciństwa przeznaczyli nas dla siebie; wczoray pierwszy raz uyrzeliśmy się oboje, i od razu płomień czystey miłości, rozgorzał w sercach naszych. To prawda!... prawda, że moje szaleństwo, wieśniacza łatwowierność złym ludziom, przywiodły mnie do obrażenia Marysi natrętném wybadywaniem i niegodnemi przymówkami o zbyteczną zalotność i niestałość w kochaniu... i przyznaję żem na gniéw jey zasłużył. Ale o

Boże!.. kiedy błąd móy poznałem, kiedy ze łzami i rozpaczą błagam o przebaczenie!.. godziż się bydź nielitościwą? Sądź nas WPan Dobrodziey i jeśli uznasz mnie zasługującym na wieczną wzgardę za jeden błąd chwilowy, to niechże tu u nóg jey zginę!„ –

To rzekłszy padłem znów na kolana i w śród bolesne łkania, oczekiwałem na móy wyrok. —

Pan Swierzawski. (*do Marysi która jeszcze bardziey zaczęła płakać.*) Kochana Marysieńku! Czy prawdę on powiada? Jest że tak w samey rzeczy?..

Marysia. (*ledwie mogąc wymawiać.*) Tak... prawdę.... Ja nieszczęśliwa!...

Pan Swierzawski. J na zawszeż z nim chcesz się rozstać?... J do czegóż to podobne?...

Marysia (*do mnie*) Wstań! wstań Pawełku!

Pan Swierzawski. (*do mnie.*) Niewstaway! (*do niey.*) Marysieńku! Tak śliczne i tkliwe łezki widzę w twoich oczętach, i tyleż zacietości masz w sercu? Kto jak on nad życie kocha, możeż niebydź troche zazdrosnym? A wreszcie wyznał błąd i u nóg twoich o litość żebrze.... (*biorąc ją za szyję.*) Marysieńku! dobre dziécie, będziesz że dłużey milczała?.. Jużeż mu ten raz daruy!... Spòyrz na mnie... Ten co was wszystkich rozwesela, stary Swierzawski, rozczulił się widokiem biednego chłopca... widzisz go, oto i on już... tylko co się ma rozbeczyć.... a tyż jeszcze nieodpowiadasz?... (*Po*

niejakiéy pauzie, widząc ją nakłaniającą się ku przebaczeniu, — mówi do mnie.) Ale, ale, bośmy też może o nayważnieyszey rzeczy zapomnieli Pawełku? Prosisz jey o przebaczenie, a przyrzekłżeś poprawę?.. Nic niemówisz? to pewnie o tém zapomniałeś. Kiedy tak, więc mów za mną. — (*Widząc wypogadzającą się twarz Marysi, mówi, a ja za nim.*) "Przy„ rzekam, poprzysięgam u nóg twoich Mary„ siu, nigdy w życiu niebydź zazdrosnym i „ niewierzyć niczyim oczom, tylko własnym.„— No Marysiu? a czy już zgoda?...

Marysja. (*podnosząc mnie i przyciskając z uśmiéchem Anioła, pełno jeszcze łez mając w oczach.*) Już zgoda!...—

O wy! którzy niedoznaliście nigdy tey nieporównaney roskoszy jaką pojednanie dwóyga kochanków sercom rozczulonym przynosi; którzy niebyliście wzruszonemi świadkami tey sceny duszę porywającey: niedotykaycie bluźnierczą dłonią pędzla ni lutni;— nie dla was te dwa święte narzędzia, nie dla was imie poëty i malarza. Obrazy i rymy wasze przeżyją sławę, którey się mierność świętokradzko dobijać śmiała, i zniknąą razem z wami w otchłaniach niepamięci! —

Z radości ledwie od zmysłów nieodszedłem. Przytulając z ogniem do ust, obie śnieżne dłońki Marysi, stokrotnie powtórzyłem przysięgę nieposądzać jey nigdy; a ona uśmiéchając się tylko, powtarzała ustawicznie te słowa: "*Kiedy*

nas Pan Swierzawski pojednał, to się już niczego nielękam. — Stary pokręcał wąsa i patrzał się na nas z miłością, jakby na własne dzieci. "Niewierz nigdy, rzekł do mnie bajarzom, bo to plemie diabelskie, niejednego już z nieszczęść było narzędziem. Opowiem wam po krótce, bardzo podobne zdarzenie, którego byłem świadkiem w Poznaniu, zostając pod ów czas przy palestrze, a raczéy przy tey chałastrze prawniczey, co w szermierstwie pieniackiey zaciętości zwydrzona, za nic nieraz ważyła cnotę i sprawiedliwość. — Jeden z uczciwey młodzieży, niejaki Karol Szczepanowski, pokochał się w biedney sierocie Helenie Sawickiey, niemającey za sobą nic, prócz wdzięków i piękney duszy. Aże sam był majętnym; niżeli więc mógł zawrzéć śluby z Helenką, utrudzane sobie z razu przez Oyca; łożył na jey przystoyne utrzymanie u jedney z poważnych matron, trudniącey się wychowaniem panienek, i tam co tydzień ją odwiedzał. Pewnego dnia, odebrawszy list od swego rodzica, zezwalający wreszcie na pożądane małżeństwo; uradowany, spotkawszy mnie, bo od wszystkich byłem lubiony, zaprosił do Węgrzyna, gdzie stary tokay od rana do wieczora potokiem jak bywało, płynący; miał naten raz napełnić dwa szacowne puhary, za zdrowie oyca i kochanki. — Zaledwieśmy w małym kąciku upatrzone zajęli mieysce, aliżci słyszymy w oddaleniu rozmowę kilku podchmielonych szaławiłów, któ-

rzy nayuszczypliwsze żarciki miotali na kobiety; i niewidząc nas, wspomnieli Helenkę w tych wyrazach. "Szkoda chłopaka, ani po„ myśli że pod nim dołki kopią. Jeymościan„ ka ma gacha, co każdego wieczora po dzie„ siątey godzinie przychodzi tylną furtką o„ grodu, i rozumie się reszta. Ha! ha! ha! to „ paradnie!„— Karol podług owczesnego zwyczaju, chciał zaraz dobyć korda, i łby niegodziwych potwarców na kapustę posiekać, potym pòyśdź ukarać niewierną. Ale ja go przecie wstrzymałem przekładając, że w takich rzeczach lepiey będzie z trzeźwemi się rozmówić, a pierwey się gruntownie przekonać czy to prawda? Usłuchał mnie zacny młodzieniec;— a że też było prawie niedaleko dziesiątey, prosił żeby mu towarzyszyć pod mur ogrodu w którym się zguba jego knuć miała. Obeśliśmy tyłami, i zbliżywszy się niedaleko furtki dającey wychód na pole, ukryliśmy się w krzewiu, postanowiwszy czekać dalszych wypadków. — Niewyszło pół godziny, usłyszelim z ogrodu lekkie klaśnięcie w ręce.— Wszystka krew zawrzała w Szczepanowskim: "Zdrayczy„ no! syknął przeraźliwie, życiem tey zbro„ dni przypłacisz!„ — Chciał już klasnąć nawzajem, lecz ja znowu go powściągam, temi słowy: "Day pokòy Panie Karolu!... albóż znak umowiony, ma koniecznie należyć od wzajemnego klaskania? Może też gach inaczey się zwiastować będzie. Zaczekaymy cierpliwie zo-

baczymy co daléy zrobią? Kto wie, jak się pokaże? Może jeszcze twoją Helenkę nayniewinnieyszą znaydziesz?„— Rostropney usłuchał rady, i na ten raz się także uciszył.— Zaledwie to minęło, spostrzegamy o podal jakiegoś Jegomości, który tak szybko podsunął się pod furtkę,— dobył klucz,— otwarł— wpadł do ogrodu— i tak zręcznie zamknął za sobą z tyłu,— iżbyśmy w żaden sposób niebyli mogli zabronić mu przeprawy. Następuje ciche wołanie: *Helenko! Helenko! czy jesteś tu?*..— "Teraz czas!... rzecze rozjątrzony tą czarną niewiernością kochanek, czy słyszałeś imie zbrodniarki? Idźmy!— podsadź mnie na mur,— sam tu zostań!...— Nie, odpowiem, to bydź niemoże. Wartaż *ona* już teraz, ażebyś dla niey, kto wié na jakie niebezpieczeństwo, życie i honor miał narażać? Wiesz co? usłuchay mnie i zrób tak jak ja myślę, a pomścisz się dowoli i na niewierney kochance, i razem na przedayney lub też niedbałey ochmistrzyni. Póydź zamną, tylko co tchu biegniymy.— Ale gdzież?— Rozumie się że do mieszkania niegodziwey matrony. Zapewne jeszcze niespi; a gdyby i tak było, potrafiemy obudzić *Magnifikę* i zapytawszy gdzie jest Panna Helena? dopieróż ją zaprosiemy na serenadę do ogrodu.— Dobrze! niech i tak będzie, odpowiedział rozjuszony prawie młodzieniec, i w kilka minut stanęliśmy przed drzwiami domu, które za poruszeniem dzwonka, służący nam otworzył. "Cze-

go Panowie chcą tak późno? — Mamy pilny bardzo interess do samey Pani, odpowiedziałem. — Wątpię czy Panów zechce przyjąć o tey godzinie? — Jeżeli niezechce, to musi zawołał gr.źnie móy towarzysz.— A tóż to Pan Szczepanowski Dobrodziéy? Panna Helena już w łóżeczku Wielmożny Panie.... — Prowadź nas, lub twoja śmierć!..,,— krzyknie Karol, uchwyciwszy za pałasz.— Przerażony tą odpowiedzią służący, bez oporu drzwi nam otworzył do przedpokoju, prosząc ażeby w niyść po cichu, a nam też tego trzeba było. —

Karol wszedł zaraz do przyległego gabinetu, w którym siedziała przy stoliku ochmistrzyni z jedną jeszcze panienką, i czytały modlitwę.— "Cóż tak późno Pana sprowadza? je„ żeli się wolno zapytać? — rzecze poważna „ Ochmistrzyni, bardzo łagodnie i uprzeymie?,,— Gdzie jest Panna Helena!... jeżeli się nawzajem wolno Pani zapytać? odpowie Karol, któremu się z oczu iskrzyło.— Już śpi.—Przepraszam, to jest nieprawda? — Co! nieprawda? Niespodziewałam się takiego przywitania po Panu Szczepanowskim... ja mówię że śpi!.. — A ja mówię że jest w ogrodzie!"— O! przepraszam cię móy Panie!.. i lubo niepowinnam daley nawet mówić z WPanem: lecz tą razą dla ukarania i zawstydzenia podeyrzliwych posądzeń, któremi tak niebacznie krzywdzisz niewinność; chcę cię natychmiast przekonać o nierozsądnym błędzie. Poday mi WPan rękę, i

w drugą weź te świécę.... Obłąkany!.. spòyrz teraz za ten zielony parawanik, tam spoczywa twóy anioł!...„ —

Jakież zawstydzenie i radość Szczepanowskiego? — Helenka podobna bóstwu niewinności, w słodkich pewnie o swym kochanku marzeniach, spi otulona kołderką i wymawia przez sen imie *Karola!....* —

"Ach Pani! zginając przed ochmistrzynią młody podeyrzliwiec kolana, zawoła: przebaczenia i łaski! Jeźli obraziłem Helenkę, sto-razy bardziey ciebie zacna mistrzyni!

"Tu dopiero opowiedział jey Szczepanowski, całą okoliczność, i razem złożył list od swego oyca; — w dowód nayszczerszych uczuciów dla Helenki.— Ztem wszystkiem rzecze ułagodzona ochmistrzyni, to niemusi bydź bez kozery; już ja się domyślam co to znaczy? — i natychmiast zawoławszy służącego, spytała o Helenę swą pokojową.— "Zapewne rozumiejąc że Pani już spać poszłaś, będzie teraz w ogrodzie, odpowié Jan; bo zawsze o tey godzinie wybiega tam dla słuchania słowika. Czy mam póyśdź jey zawołać? Zatrzymay się, poydziesz, lecz razem zemną„— Po tych słowach wezwawszy nas abyśmy jey towarzyszyli, wyszła cichaczem do ogrodu; gdzie niebawem ostrożny słowik, posłyszawszy ją zdala, frunął drapaka przez furtkę, którey w strachu niezdążył zamknąć; a panna pokojowa musiała póyść klęczyć przez całą noc na grochu, i nazajutrz straciła służbę. —

Sliczna Helenka, dopiero w trzy dni po ślubie, przy wesołey biesiadzie, dowiedziała się o tém niebezpiecznym zdarzeniu, ktore gdyby nie moja zimna krew, smutne może za sobą poc[illegible]y skutki. Pokazało się w końcu, że [illegible]erna pokojowa, chcąc tym korzystniey złudzić palestranta niejakiego Lisikiewicza, ktòry nieznał prawdziwey Karola narzeczoney, przybrała na siebie jey postać; a tamten nierozsądną wzdęty pròżnością, chwalił się przed drugimi z urojonego tryumfu. Wszystko to wyszło na jaw, i biedny Lisikiewicz wystrychnięty na dudka, długi czas był przedmiotem uszczypliwych żarcików.„—

”Widzisz, widzisz Pawełku, że to nietrzeba nigdy bydź prędkim do złey myśli o drugich; rzecze do mnie po skończeniu tey powieści Marysia, i pamiętay na twą przysięgę.„ — Pan Swierzawski rozśmiał się nato, w przeciwnym znowu rodzaju, chciał nam powiedzieć *dykteryjkę*; lecz gòralka trąciła w dzwonek sklepowy, a ja ucałowawszy śnieżne rączki Marysi, wyszedłem z nim i zaprosiłem go na marynatę i porter; gdzieśmy się nieźle na tę radość uczęstowali. —

(Dalszy ciąg później.)

KONIEC TOMIKU VIII. FLORY.
